

WYDAWNICTWA ROK PIĄTY.



DO PRENUMERATORÓW.

PROSIMY O WPLACANIE PRENUMERATY ZA KWARTAŁ IV. WSZYSTKIM, KTÓRZY ZAŁĘGAJĄ W OPLACIE ZA KWARTAŁY UBIEGŁE, DALSZE WYSYLANIE „PŁOMYKA” WSTRZYMujemy. PRZYPOMINAMY, ŻE PRENUMERATA ZA ROK BIEŻĄCY WYNOŚI: ZA KWARTAŁ I-SZY 45 MK., ZA II I III-CI—PO 60 MK., A ZA IV-TY—100 MK. KTO WNIÓŚŁ MNIEJ, PROSIMY O DOPLATE.

MAŁY GONIEC.

(Zdarzenie prawdziwe).

Nawałnica bolszewicka zbliżała się tak szerokim frontem, że groziła jednocześnie setkom wiosek i miast, i setkom tysięcy rodzin. Szło nie wojsko, regularne, wyćwiczone, karne, rozumiejące, że prowadzi wojnę z drugą armią, lecz nie z kobietami, starcami i dziećmi. Szła, pędziła, leciała, popychając się wzajemnie, czarna krwi żądna tłuszcza—która walczyła nie o święte hasło, nie w obronie wolności, nie o zrównanie miedzy granicznych, usypanych rękami tyranów na żywym ciele Ojczyzny... Polski lud miał własny, suchy, twardy, ale dostatni kawałek chleba. O chleb ten, by go wydrzeć i pochłonać, walczyły wschodnie hordy. Rabując i niszcząc, wołały, że przyszły wyzwolić kraj polski z pod jarzma białych panów, a wyrywały chleb z dziecięcych rączek, doprowadzały do nędzy rodziny robotnicze i wieśniacze, przelewały krew młodzieży polskiej—nadziei Narodu, okrywając żałobą cały polski kraj.

Już zatętniły podkowy ich koni na prawym brzegu Wisły... Kto żyw, chwycił broń. Pod Warszawą rozgrywały się walki Dawida z Goljatem. Kozackie konie chciały ugasić pragnienie świętą wodą Wisły...

— Nie napije się kozacki koń świętej wiślanej wody! Nie damy ziemi skąd nasz ród! Na prawy brzeg wysunęły się naprędce sypane fortyfikacje, druciane zasieki, i żywy ludzki mur młodzieńczych piersi, gotowych przelać krew w obronie ukochanego kraju.— Zdała huczały armaty. Śmierć szła — nad polami unosiły się stada kruków... Padły pierwsze strzały...

Nadwiślańskie, stare piastowe grodzisko. Katedralne wieżycy krzyżami dotykają nieba. Starożytne mury pokryła szacowna pleśń dawnej chwały. Wokół cudne, bogate, złotem pełne pola. Od miasta, jak ramię, wyciąga się przez Wisłę most drewniany. Za mostem brzeg — górzysty, zalesiony.. A w tym lesie, wśród wzgórz — okopy. A w okopach nasze dzieci. A nad okopami zmagają się wraże pociski, z rozpaczem modlitwami matek, które błagają Boga o życie swych synów. Miasto pracuje dla obrony bez wytchnienia. Modlą się kobiety sercem, ale nie zalegają kościelnych naw; ręce ich niestrudzone, ofiarnej pracy pełne, nigdy nie próżnują.— Na wolność Polski czyha wróg. Oddajmy Ojczyźnie całych siebie: sen, spokój, dobrobyt, szczęście, życie!...

Strzał armatni zahuczał gdzieś bardzo blisko... Lękliwe serca zadrżały. Serca mężne, lecz spokoj miłujące, zapłakały nad strasliwymi skutkami wojny. Serca waleczne rozpromieniły się jak na głos pobudki. — Przypadli do ziemi okopów żołnierze. Rozsypały się w tyraljerę wśród zielonych, radosnych miedz, wśród macierzanek, rozchodników i mikołajków błękitne rogatywki polskiej piechoty... I zdawało się przez chwilę, że niema na świecie wojny, nienawiści, najść zbrojnych a wrażeń na ziemię Piasta, że w złotych blaskach sierpniowego słońca po cichych miedzach kujawskich chadza tylko dobra dola.

Za Wisłą grzmiąły coraz donośniej nieprzyjacielskie armaty. W mieście szła praca codzienna, i praca pomocnicza dla armji. — Nie wiedziano też, co się działo na wzgórzach za Wisłą. — Wiedziano, że są tam obrońcy — i poza osłoną ich bagnietów przedzono nic dnia powszedniego ze spokojem zupełnym. — Naraz — trwoga. Ktoś rzucił złą wieść.

— Są już blisko. Nasi się nie utrzymają. Uciekać. Zakłębiło się. Zagotowało. Z trzaskiem zamykać zaczęto drzwi i okiennice. — Lecz spokoj sfer wojskowych przekonał wkrótce o tem, że pogłoski były złe. Armaty jakoś przycichły. I powróciło miasto

do normalnej pracy.—Nikt też nie zwrócił uwagi na małego chłopczyń, który przedostał się przez most, i śpiesznie biegł ulicami. Nie zwrócił uwagi i Zarząd Czerwonego Krzyża, naradzający się nad sprawą pomocy żołnierzom w okopach. Trzeba im posłać apteczkę i skład opatrunkowy. Zapewne front się przybliży. Będą ranni.

— Ranni są, odezwał się cichy głos dziecięcy.

— Co? ranni? gdzie? I otoczyły chłopca trzy kobiety i jeden siwy pan.—Ranni są? Gdzie?

— Opowiadanie! dorzucił pan.

Twarz chłopca poczerwieniała. Wskazał ręką na krzyż harcerski, z zanadru wyciągnął list. Podał go jednej z pań.

Czytała.

— Ranni przybywają. Brak środków przewozowych... Pysłać samochód sanitarny, furgony w nocy. Czekamy. Czołowy punkt sanitarny. Posłaniec wskaże.

Poblądły twarze obecnych. — Znowu polala się polska krew w obronie Ojczyściej ziemi.

— Skąd to wzięłeś, chłopcze?

— Od nich.

— Co tam robiłeś?

— Poszedłem z nimi.

— Po co?

— Aby pomóc.

— Dlaczego przystali ciebie?

— Na wieży chednickiego kościoła Moskale mają obserwatorium. — Nie przemknij się nikt bezpiecznie! — Więc poszedłem do porucznika i prosiłem, aby posłał mnie. Porucznik bał się, że nie odniosę listu, bo się złękę kul. Więcem skłamał, a *skaut nie kłamie*, że chcę do miasta, do mamy i—uwierzył. Po drodze wałęsałem pociski. Zając przeleci przez szosę, kurz za nim, to granat w tem miejscu w mig pada...

— A ty nie do mamy?

— Ja nie mam tu mamy, ani nikogo.

— Więc dlaczego tak powiedziałeś?

— Bo bałem się, że *poszlą prawdziwego żołnierza*. A on może zginąć!

Główka chłopca znalazła się na czyjejs piersi. Ciepłe pocałunki okryły jego czoło.

— To ty jesteś prawdziwym żołnierzem!

Ale mały potrząsnął czupryną i wykrzyknął.

— Tyle czasu przeszło, a samochód nie gotów! Porucznik-doktór nie ma gdzie kłaść chorych, a my jeszcze tu? Prędkiej prędkiej, prędkiej na pomoc naszym żołnierzynom! — Spieszcie się. Jedziemy! Jedziemy!

— Więc i ty?

— A co myślicie, że ja tu będę siedział? Jadę do nich.— Teraz już mi uwierzą! A nie zabierzecie mnie z sobą, to sam pójdę! Przecie mi nie nowina.

I prostuje wątłe ciało. Z jasnych oczu promienieje moc ducha, a na szarej bluzie srebrzy się krzyż harcnerski, z jakim zwykły żyć i umierać polskie dzieci.

DOMOSŁAWA.

Przedwojewo 16 sierpnia 1921 r.

CZERWONY KRZYŻ.

Pzypomnij sobie, synku, jak patrzyłeś kiedyś przez okno na wracające pułki żołnierzy, jak cieszyłeś się i klaskałeś w dłonie, że nic im się na wojnie nie stało. A tatuś ci powiedział?—Nie widzisz tych, którzy w ziemi leżą, bo za nas zginęli, nie widzisz tych, którzy w kalectwie i nędzy pędzić będą życie, bo zdrowie oddali za nasz spokój i swobodę!

— Jak myślisz, synku, dużo ich może być?

— Ja nie wiem, mamol!

— Tylu ich będzie napewno, ilu wówczas zdrowych żołnierzy przeciągnęło przed naszemi oknami. Tylu — a może i więcej, może i dużo więcej.

— Mamol, to cóż ja na to poradzę? Co my na to poradzimy!?

— Prawie nic dziecko nie moglibyśmy poradzić my dwoje; ale tam, gdzie jeden człowiek, ani dwoje nie poradzi, tam może poradzić stu ludzi, albo tysiąc. A nas przecie — Polaków, których bronili ci żołnierze, jest więcej niż setki i więcej niż tysiące, bo jest nas kilkadziesiąt milionów. — Ty sam jeden nie możesz wykarmić jednego człowieka, bo gdybyś zawsze oddawał swoją porcję, to wkońcu sambyś zachorował i umarł z głodu; ale gdybyś codzień odłożył ze swego jedzenia tylko trochę, i gdybyś namówił całą klasę, żeby zrobiła to samo, to wykarmilibyście z pewnością jednego dorosłego człowieka, a cała szkoła wykarmiłaby nawet kilku.

— Mamol!

— Sam możesz raz dać coś sierocie, który ojca stracił na wojnie, a potem znowu głód zagląda dziecku w oczy, ale gdybyś

raz na miesiąc dał swoje śniadanie, ktoś drugi — obiad, ktoś jeszcze trzeci — kolację, to w kilkadziesiąt osób uratowalibyście sierotę od głodu.

— I naprawdę sami wychowalibyśmy wtedy dziecko!

— Ale czekaj synku: jeżeli nie byłoby między wami bardzo dobrej umowy i ktoś jeden nie pilnowałby, to mogłoby się zdarzyć, że wasz wychowanek raz ma trzy śniadania, ale nie ma obiadu, a na drugi raz znowu czeka naczczo aż do wieczora.

— To trzebaby mamó, żeby był dyżurny odpowiedzialny na każdy miesiąc i żeby wyznaczył każdemu, co ma i kiedy zrobić, i żeby dopilnował.

— Więc widzisz: jest rada na tę nędzę, która zawisła nad narodem, która świata całemu grozi. Trzeba, żeby było dużo razem tych, którzy chcą pomóc, i żeby ktoś mądry objął kierownictwo nad tem, co oni robią. — Tak właśnie czynią różne towarzystwa, które chcą pomagać ludziom cierpiącym. Nazywają się one towarzystwami humanitarnymi (*homo* znaczy po łacinie *człowiek*). A największe z nich takie, które musi być w każdym wolnym narodzie, to Czerwony Krzyż.

Czerwony Krzyż czuwa nad powrotem jeńców, pomaga przy ich przyjęciu, stara się, aby każdego wykąpać, ubrać, nakarmić, rozweselić, a potem coprędzej pisze do domu, gdzie tak do niego tęsknili, że *wrócił!*

— To Czerwony Krzyż najwięcej zajmuje się powrotem jeńców?

— Teraz — tak: bo to jedna z największych trosk narodu. Ale jak była wojna, Czerwony Krzyż miał szpitale dla chorych i dla rannych, gdzie siostry Czerwonego Krzyża...

— Wiem! takie w białych kapturkach i z takim samym Czerwonym Krzyżem?

.....Właśnie, więc one tam pielęgnowały rannych i chorych. Potem miał Czerwony Krzyż stołówki-herbaciarnie dla żołnierzy na froncie, gdzie oni są tacy osamotnieni i taką twardą mają służbę; potem pralnie i kąpiele, pociągi sanitarne, żeby rannych i chorych odwozić do szpitali, potem patrole sanitarne, które szły tam, gdzie pociąg nie mógł dojechać.

— I co jeszcze?

— I jeszcze miał Czerwony Krzyż świetlice, gdzie w słotne lub mroźne wieczory żołnierz smutny i znudzony życiem garnizony lub służbą na froncie mógł ogrzać się i rozweselić w jasnej, cieplej i ustrojonej izbie, mógł poczytać książkę wypożyczoną

z miejscowej biblioteki, napisać list do domu. — A teraz, kiedy wojna się skończyła, Czerwony Krzyż musi się opiekować sierotami po poległych żołnierzach, musi leczyć tych, którzy jeszcze się nie wyleczyli, a tym, co wychodzą z wojska, musi pomóc, aby powoli sami sobie dawali znowu radę. Ale dużo, dużo jest takich, którzy nigdy już sami sobie nie zarobią na życie: są niewidomi, kalecy bez rąk i nóg, są chorzy na suchoty. Stracili zdrowie na zawsze, ale za to nasze domy stoją, jak stały, a mama spokojnie ciebie puszcza co rano z zapakowanym śniadaniem do szkoły, gdzie uczysz się pisać po polsku i być wolnym, rozumnym człowiekiem. To też ci ludzie, którym teraz jest dobrze, nie powinni pozwolić, aby ich obrońcy ginęli bez ratunku.

— I nie pozwolimy mamol!

— Pomyśl, ilu to ludzi mieszka w tym domu, ilu na tej ulicy, a ilu w całej Warszawie! A ilu jeszcze na wszystkich ziemiach naszej Rzeczypospolitej... Toż gdyby każdy człowiek pomógł tym pokrzywdzonym choć trochę, choć troszeczkę, to nie wałęsałoby się głodne dziecko po ulicy, ani ślepy nie wyciągałby ręki, sztywny ze strachu, czy go kto nie potrąci.

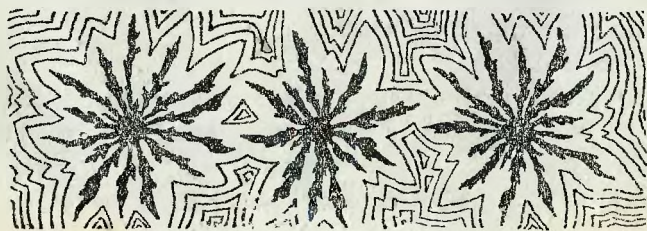
— I nie byłoby tak przykro iść na obiad po ulicy i patrzeć na nich.

— Tak synku: wszystkim lżej byłoby na świecie.

— I nie myśl, że tylko wojsku pomaga Czerwony Krzyż: pomaga on tak samo i cywilnym wszędzie, gdzie dotknie ich klęska, jak np. na naszych wschodnich kresach, gdzie zaraza dziesiątkuje ludzi i gdzie kraj zniszczony od walk nie może wykarmić mieszkańców. — On wszędzie pracuje. On to ratował ludzi w czasie trzęsienia ziemi we Włoszech, on ratuje w czasie powodzi, w katastrofach kolejowych. Gdzie tylko krew się leje, lub płyną krwawe łzy cierpienia, tam on rozpościera swe ramiona, aby poratować i pocieszyć.

— Rozumiem, Mamo...

MARJA PRZYBOROWSKA.



JAK TO SÓJKA WYBIERAŁA SIĘ ZA MORZE.

Kiedy Pan Bóg stworzył ptaszki, to zebrał je wszystkie razem na wielkiej polanie, poustawiał w duże gromadki i każdej z nich wyznaczył miejsce zamieszkania. Więc w krajach północnych wśród śniegów i lodów kazał mieszkać bezłotkom i kaczkom edredonowym, pokrytym ciepłym puchem, na gorących pustyniach Afryki—szybkobiegitemu strusiowi, w dziewiczych lasach zwrotnikowych—papugom o jaskrawych piórach i lśniącym wszelkiemi barwami tęczy kolibrom, wśród nagich niedostępnych szczytów górskich—dzikim orłom i sępom, wreszcie niewielkim ptaszkom, jak wróble, sikorki, trznadle, wrony, kazał się udać do lasów i sadów w krajach o klimacie bardziej umiarkowanym. Na samym końcu zwrócił się do ostatniej grupy ptaszków, były tam: bociany, zięby, wilgi, słowiki i rzekł do nich: „Wy będziecie ptaszkami przelotnymi bez stałego miejsca pobytu;—lato spędzać będziecie w krajach zimniejszych, by chronić tamtejsze rośliny od szkodliwych owadów, z nadejściem zaś zimy, gdy już tam nie będziecie potrzebne, wolno wam przenosić się do cieplejszych krajów, ażebyście mogły przetrwać zbyt trudne dla siebie czasy. Tylko pamiętajcie—rzekł, zwracając się do wszystkich ptaszków, że żadnemu z was nie pozwalam zmieniać samowolnie miejsca swego przeznaczenia—kto nie jest ptakiem przelotnym, ten ma trwać na swoim stanowisku, bo inaczej zginie marnie w drodze, a imię jego będzie okryte hańbą wśród ptaków.“

Wszystkie ptaszki słuchały w skupieniu przemowy Stwórcy, jedna tylko sójka nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu. To pozazdrościła dudkowi jego czubka i stanęła przy nim, by porównać, czy jej czubek jest dużo mniejszy; to pociągnęła zimorodka za skrzydła ze złości, że ma piórka błękitniejsze od niej; to ziębie stłukła świeżo zniesione jajeczko—tak, że dopiero ostatnie groźne słowa Stwórcy doszły do jej uszu. Że jednak ciągle przedtem kręciła się i psociła, nie wiedziała zupełnie do której grupy ptaszków Pan Bóg ją zaliczył i jaki kraj przeznaczył jej na mieszkanie. Za późno jednak już było na dopytywanie się, bo oto Stwórca klasnął w dłonie i wszystkie ptaszki uleciały we wskazane im zakątki ziemi. Zakłopotana sójka, niewiele myśląc, puściła się za ptaszkami, które jej wydały się najpodobniejsze do niej, i osiedliła się u nas w Polsce w lesie na ogromnym dębie w towarzystwie

dzięciołów, kowalików i sikorek. Całe lato miło jej zeszło, owadów miała pod dostatkiem, a że nie gardziła i jajkami; więc z zadowoleniem myślała, że jej nieuwaga nie przyniosła wielkiej szkody.

Lecz oto przyszła jesień. Słowiki, zięby, wilgi, drozdy, kukłki zbierały się do odlotu do innych cieplejszych krajów i zżywieniem naradzały się nad odbyciem tak ciężkiej podróży. Dzięcioły, trznadle, czyżyki, sikory ze spokojem oczekiwały nadejścia zimy, przenosząc się tylko z lasu do sadów bliżej mieszkań ludzkich, ufne że Stwórca, który im kazał pozostać na miejscu, będzie pamiętał o nich i da im możność przetrwania tych ciężkich czasów. Tylko sójkę ogarniał coraz większy niepokój: bała się pozostać na miejscu, bo nie wiedziała, czy starczy jej sił do zniesienia tak wielkiego zimna; bała się wyruszyć w podróż, bo w myśli stały jej słowa Stwórcy, że kto puści się w drogę, nie będąc ptakiem przelotnym, ten zginie marnie i okryje się hańbą w świecie ptasim. Więc zwoływała wciąż całą swoją rodzinę i przelatywała niespokojnie z lasu do lasu, przyglądając się kolejnemu odlotowi różnych ptaków z sercem pełnem wątpliwości i niepokoju.

Przyszła zima. Ach, ciężka to były pora dla sójki! Nie będąc pewną, czy zostanie na miejscu, nie zrobiła sobie żadnych zapasów żywności; mając na sumieniu względem innych ptaszków porozbijane jaja i pochwythane pisklęta, nie śmiała zbliżyć się w ich towarzystwie do mieszkań ludzkich, gdzie łatwiej przecież o jakieś pożywienie. Ale Pan Bóg, który jest bezmiernie miłosierny, nie pozwolił i sójce zginąć z głodu i, choć z wielką biedą, zdołała jednak doczekać się wiosny. Tak jej jednak ta zima dała się we znaki, że każdej jesieni; gdy widzi inne ptaki wybierające się do odlotu, nią ogarniają wątpliwości, czy czasem nie ma prawa być ptaszkiem przelotnym i czy jako taki nie mogłaby o wiele łatwiej i milej spędzić nadchodzącej zimy, więc zbiera się w stada, przelatuje od lasu do lasu tak, jakby chciała wypuścić się w drogę. Zawsze jednak w ostatniej chwili ogarnia ją obawa i pozostaje na miejscu na ciężką dolę i niedolę.

Stąd nawet wśród ludzi powstało przysłowie: jeżeli ktoś zamierza wyjechać w podróż, albo odwiedzić i ciągle chwilę wyjazdu odkłada, to powiadają o nim — „Wybiera się, jak sójka za morze.“

HALINA KOPCIOWA.



JENIEC.

OBRAZEK SCENICZNY.

napisała DOMOSŁAWA.

(Ciąg dalszy).

SKAUCI.

Kartka?

JERZY.

Przeczytaj!

LUDWIK.

Od ciężkich myśli mąci się głowa...

WŁADEK.

Nie zwlekaj, Łudek!

ZBYSZEK.

Przeczytaj!

ANTEK.

Czytaj!

LUDWIK *(czyta)*.

Kto przeczyta moje słowa,
brat tyś mój, czy kat,
wierz, że leśna ta dąbrowa,
gorzki cały świat.

Kajdanami ciągle dzwonię,
woli nie mam swej,
i w tęsknocie serce tonie
do chatyny mej.

Jam nie winien, że krew ścieka
z moich obu rąk.

Cóż ja jestem? Cień człowieka.
Ileż jeszcze mąk?

Pomyśl jeno, ty nieznany,
co przeczytasz to,
jakie ciężkie są kajdany
rdzawe ludzką krwią...

*Ciężkie milczenie. Skauci stoją z pochylonemi głowami.*ZBYSZEK *(z westchnieniem)*

Ach, kto to pisał?

RODZINA.

Powieść.

przez HELENĘ STATTLERÓWNĘ.

(Ciąg dalszy).

XIII.

Ku niezmiernej radości dzieci rodzice nie czynili żadnych wstrętów w sprawie odpustowej, i w niedzielę rano „skoro świt”, to znaczy koło dziewiątej godziny, wyruszyła cała trójka wynajętą bryczką do odległej o cztery wiorsty wioski. Dzieci wiejskie wyszły wcześniej piechotą, i nasze mieszczychy miały początkowo ten sam zamiar, który jednak upadł ze względu na krótkie jeszcze nóżki Lutka i zapowiadający się upał.

Jechali drogą piaszczystą wzdłuż lasu, coraz spotykając gromadki włościan w barwnych strojach. Dziewczęta szczególnie były jak kwiaty; miały samodziiałowe pasiaste spódnice, kaftany niebieskie, różowe lub zielone, naszywane gęsto świecidełkami, a we włosach mnóstwo kwiatów i wstążek.

— Jak to zabawnie, — dziwiła się Janka, — idą boso, a buty niosą w ręku.

— I książeczkę do nabożeństwa owijają w białą chustkę do nosa.

— Której pewno nigdy nie używają.

— I to zabawnie, że duże dziewczyny mają takie krótkie spódnice, a małe dziewczynki przeciwnie długie suknie po pięty.

— Na wyrost! Ale ładne mają stroje, takie kolorowe i błyszczące!

— Ładniejsze od naszych. A tu, patrz Janka, jedzie jakiś powóz.

— Prześciga nas. Ach żeby już prędzej być na odpuscie. Sprzykrzyło mi się siedzieć na jednym miejscu.

Już widać wieżyczkę kościoła i w parę minut bryczka zatrzymuje się przed bramą.

Wobec straszego tłoku wejść do wnętrza było niepodobna i dzieci musiały pozostać na cmentarzyku okalającym kościół. Naokoło nich tłum włościan modlił się żarliwie,

„a na dźwięk dzwonka, niby na wiatru powianie,

„chyla się wszystkie głowy, jak kłosa na łanie.

Długie szeregi włościan i bab kłęzały koło konfesjonałów i foteli, w których księża w białych komżach spowiadali wiernych.

Słyszał było szepty łacińskich modlitw, a z kościoła chwilami do-
latywał poważny głos organów.

Wstyd trochę przyznać, że myśli naszej trójki dalekie były
od modlitwy. Wszyscy troje wypatrywali oczy na błyszczące ja-
skrawe straganki pod murem kościelnym i niecierpliwie wyczeki-
wali chwili, gdy będą mogli przyjrzeć się im zbliska.

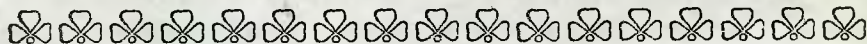
Szczególniej Lutek kręcił się niemożliwie. Kiedyż nareszcie
będzie mógł wybrać sobie „co zechce”, tak jak mu to zostało
obietanem, z tem jedynem ze strony rodziców zastrzeżeniem, że-
by to nie było „nic ostrego”. Nie nóż zatem, ani szczyryk, nie-
stety. Ale może być wózek, pajac, słodczyce wszelkiego rodzaju.
Prawda, że należałoby liczyć się z funduszami, — Wacek i Janka
przeznaczili wspaniałomyślnie dla brata całe dwadzieścia groszy.
Lutek nie wie dobrze, ile to jest właściwie, ale chyba nie bardzo
dużo; zna on bowiem swoje rodzeństwo, i wie, że hojność ich ma
pewne granice, że zatem—choćby pragnął biedak—całego odpu-
stu za to nie kupi. Trzeba będzie wybrać powoli, a z rozważą,
aby potem nie żałować wyboru.

Lutek myśli, myśli,— a tymczasem czuje, że go Wacek w bok
trąca.

— Oo, to już koniec? Chwała Bogu! — ucieszył się całkiem
niepobożnie i aż podskoczył z wielkiej radości.

— Teraz idziemy już kupować, prawda?

C. d. n.



T R E Ś Ć: Mały goniec, przez *Domostawę*.—Czerwony Krzyż, przez *Przy-
borowską*.—Jak się sójka za morze wybierała, przez *Kopciową*.—Jeniec, przez
Domostawę.—Rodzina powieść, przez *H. Statlerównę*.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Rocznie . . .	mk. 400.—		Kwartalnie . .	mk. 100.—
Półrocznie . .	„ 200.—		Miesięcznie . .	„ 35.—
Cena pojedynczego numeru mk. 20.—				

Adres redakcji i administracji: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 123.
Administracja otwarta codziennie (prócz niedziel i świąt) od g. 6 do 7 wiecz.
Prenumeratę przyjmują oprócz administracji Stowarzyszenie Spółdzielcze
„Nasz Sklep“ Sienna 1 i „Nasza Księgarnia“, ul. Widok 22.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa
Szkół Powszechnych — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka: HELENA RADWANOWA.

TŁOZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, W WARSZAWIE.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA MŁODSZEJ DZİATWY.

□□□□□□□□□□ DODATEK DO „PŁOMYKA” □□□□□□□□□□

NASZE WAKACJE.

Staś budował wał kolejowy ze złotego ziarnistego żwiru, a na nim układał szyny z łodyg łopianów, które królowały gąszczem nieprzebytym między stajnią a oborą. Szyny zbijało się mozolnie z podkładek małemi sztyfikami struganemi z drzewa. Najtrudniejszą jednak rzeczą było zbudowanie zwrotnicy, całe dwa dni mozolił się Staś nad nią, ale zato teraz lalki Luci i Bożenki mogą podróżować w wygodnych wagonach tam i z powrotem — bo zwrotnica działa znakomicie. Największym zachwytem napelniają wszystkich lokomotywa i wagony: są one budowane z tektury, a malowane na niebiesko i żółto. Lokomotywa posiada wspaniały, wysoki komin, a wagony mają śliczne okna, ławeczki i półki. Dzięki temu panny: Klara i Róża podróżują ze wszelkimi wygodami, mogąc rozłożyć na półkach swoje walizki i tabołki, i rozsiąść się wygodnie na ławkach. To też podróżowały te dwie panie zawzięcie po całej Polsce: przez dwa tygodnie zwiedziły Kraków, Lwów, Warszawę, były nad morzem i w górach... aż pewnego popołudnia przyszedł ulewny deszcz i rozmył tor kolejowy... nie było warto naprawiać, bo już koniec wakacji się zbliżał.. Więc panna Klara i Róża żyją wspomnieniami miłych podróży, siedząc w swoim zacisznym pokoiku pomiędzy komodą a szafą. Jedynym gościem, jaki ich odwiedza, jest kot Bury, który tu przychodzi polować na myszy.

A dzieci, co robią dzieci?...

W domu ich prawie nie widać, w ogrodzie także rzadko które się pokaże...

Chodźmy poszukać ich w polu!

Ot, tam z za górkę wyjeżdża wóz drabiniasty, konie rączo biegną, drabiny podskakują, łańcuchy brzęczą, deska się trzęsie, Walek lejce tego ujął, stanąwszy szeroko na przodzie wozu, a pomiędzy szczeble drabiny powciskali się oni wszyscy, jak się komu udało... Śmieją się buzie, błyszczą oczy, trzęsą się zęby, że mówić nie można, bo język może być odgryziony, tak śmiesznie, tak zabawnie trzęsie się cały świat, aż w głowie huczy... bose nogi kokolyszają się jak najęte—fich! fach! całym szeregiem z boku drabiny. Bomba i Rozbój pędzą za wozem z wyciągniętymi do ziemi językami. Jadą do żniwa. Żniwo to wielkie święto, żniwo to najradośniejsza praca rolnika, praca zbożna, praca gromadzka, wesola. Staje do niej kto żyw, jak na gody, tylko małe dzieci i starcy zostają w opustoszałych wsiach. Nad jasnemi łanami dostałych zbóż zozlega się brzęk kos i sierpów, radosne pokrzyki i nawoływania, wre i kipi zgodna praca. Wpadły dzieci w ten wir — zapomniały o świecie całym, są jak w gorączce: oczy im palają, z czoła pot cieknie, nie czują, że słońce praży, że rzysko do krwi nogi im kaleczy, na wyprzódki wiążą snopy i po cztery w kopy układają, zwijają się jak mogą, aby tylko nadażyć, aby w tyle nie zostać. Staś i Andrzejek sierpami zboże podbierają, a chociaż w oczach im się ćmi od schylania karków, ale udają zuchów i pracują ostatnim wysiłkiem. Po dniu spędzonym przy żniwie dzieci śpią snem kamiennym i nawet ranne słońce dobudzić się ich nie może. Przeszły żniwa, na polach pusto i przestronnie, w cichym powietrzu babie lato się unosi swawolnie. Dziewczynki wracają z pola poowijane całe srebrnymi nitkami.

Chłopcy całutkie dnie spędzają teraz przy młocarni, wre tam jak w ulu głośnie i miarowa praca. Chłopcy pomagają odciągać za „czupryny“ worki pełne złotego

zboża, odmiatają plewy, wchodzą na pomost, odbierają snopki, kręcą się wszędzie zakurzeni, umorusani, szczęśliwi.

Chwilami tylko smutna myśl serca im ściska. Zawsze tak bywa: kiedy babie lato snuć się zaczyna po rżyskach, a młocarnia zahuczy monotonie, jest to jakby sygnał, że jesień nadchodzi i wieś trzeba na długo opuścić...

W jesienne, jasne, ciche rano wyjeżdżały dzieci do szkół.

Nikt nie płakał broń Boże... tylko... oczy były trochę zaczerwienione.

Bomba i Rozbój piszczały żałośnie.

Gołębie Andrzejka zbitym stadkiem zataczały kręgi nad domem, jakby chciały pożegnać swego opiekuna, a mamusi dziwnie głos drżał...

Najweselsze miny miały panna Klara i Róża, które bardzo wygodne miejsce zajęły na bryczce, wielce rade, że w nową podróż mogą się puścić. Były tak dumne z wyjazdu do Warszawy, że przyjacielowi swemu kotowi Burmu, który smutnie wyglądał z okienka nad gankiem — nosem nawet nie kiwnęły.

Tymczasem konie ruszyły...

Ostatnie pożegnanie, ostatnie przestrogi... jeszcze od krzyża na rozstajach chusteczki białe migają w powietrzu.

Długo jeszcze matka, stojąc na ganku, ścigała odjeżdżających oczami kochającymi, dopoki nie znikli w tumanach kurzu. Pojechały dzieci, wywożąc jasne, słoneczne wspomnienia z domu rodzinnego i dusze pełne ukochania swojej ziemi; a zostawiły po sobie matce i domownikom wrażenie, że promienie słońca skryły się za chmury.

MARJA KOWNACKA.

Ci z Czytelników, którzy opuszczali dom rodzinny, jadąc do szkół, niech nam opiszą, jak to było.

